

Mark Ruszczyński - wspomnienia z lat 1982-1990

Urodziłem się w 1958 roku. Studiowałem na Wydziale Ekonomiczno-Społecznym SGPiS. Spora część studentów tej uczelni to były dzieci ludzi związanych z reżimem. Ale nie wszyscy. Ja na przykład nie byłem związany. Matka opowiadała mi, że w czasach stalinowskich komuniści zamordowali jej narzeczonego...

Na Zachód wyjechałem po wprowadzeniu stanu wojennego. Wyjechałem na mistrzostwa świata w piłce nożnej do Hiszpanii w 1982 roku i już do PRL-u nie wróciłem. Miałem wtedy 24 lata.

Przed wyjazdem nie miałem bezpośredniego kontaktu z KPN-em. Po pierwsze - trudno było mi nawiązać kontakt, bo nikogo z KPN-u nie znałem. Po drugie - byłem na studiach i co roku wyjeżdżałem na wakacje na Zachód. Tam podróżowałem i pracowałem (głównie w RFN). Wiedziałem, że jeśli bym się zaangażował w otwartą działalność opozycyjną w kraju, to mogliby mi nie dać paszportu. Oczywiście wiedziałem, co to była KPN. Oczywiście czytałem "Rewolucję bez rewolucji". Pamiętam, że druk był złej jakości - któraś kopia maszynopisu pisanego przez kalkę. Ta lektura zrobiła na mnie duże wrażenie. Pomyślałem o autorze - "Ten facet to geniusz!".

Jak opuszczałem Polskę, to mama płakała, ale zachęcała mnie do wyjazdu. Mnie serce pękało, ale wyjechałem.

Motywy mojego wyjazdu - wbrew temu, co można byłoby przypuszczać - nie były głównie ekonomiczne. Przecież wyjeżdżałem już od kilku lat na Zachód. Przelicznik marki zachodniej na złotówki był tak korzystny, że zarabiałem przez jeden dzień więcej, niż moja matka (po studiach, ekonomistka) zarabiała przez miesiąc. Po trzech miesiącach pracy na Zachodzie nie byłem w PRL jakimś biedakiem. Chciałem po prostu być wolnym człowiekiem i żyć w wolnym kraju. Szczególnie imponowały mi Stany Zjednoczone i tam chciałem trafić. Podobała mi się amerykańska koncepcja wolności i podejście rządu Stanów Zjednoczonych do PRL-u i do Rosji.

Na Zachodzie nie miałem żadnej rodziny, żadnego kontaktu. Wyjechałem razem z kolegą Bogdanem, który nigdy nie był na Zachodzie. Mój kolega po pracy przechodził koło biura jakiejś agencji turystycznej, która ogłaszała wycieczki na Mundial. Wszedł i zapisał siebie i mnie na wyjazd do Hiszpanii. Mieliśmy zapewnione noclegi, bilety na mecze, ale bez pieniędzy na jedzenie.

Polecieliśmy samolotem do Francji. Jak samolot wystartował, jeden z nas powiedział do kolegi:

- No to spierdalamy!

- Cicho, cicho, bo jeszcze zawrócą samolot!

Za nami siedziała jakaś para i wybuchnęła śmiechem.

Z Francji autobusem pojechaliśmy do Hiszpanii. Wyjazd był tak zorganizowany, że spaliśmy w namiotach.

Mieliśmy bilety na niektóre mecze, m.in. na mecz Polski ze Związkiem Radzieckim [0:0 - remis dał nam wtedy awans do strefy medalowej]. Przed tym meczem wzięliśmy prześcieradło, rozpięliśmy je na namiocie i pastą do butów napisaliśmy po angielsku - "Uwolnić Wałęsę!". Na meczu udało nam się rozpiąć ten transparent na przeciwko głównej trybuny (było zresztą więcej tego typu transparentów na widowni w czasie tego meczu). Poszedłem do gościa z telewizji hiszpańskiej i zapytałem, gdzie trzeba umieścić transparent, żeby był dobrze widoczny w czasie transmisji i on nam wskazał to miejsce (nawet nas przesuwał: "Bardziej w lewo! Teraz bardziej w prawo!").

Usiedliśmy na swoich miejscach i czekaliśmy na rozpoczęcie zawodów. Tymczasem zanim mecz się rozpoczął, to policja hiszpańska weszła na trybuny i zdjęła nasz transparent mimo, że ludzie bardzo wtedy gwizdali. Potem się dowiedzieliśmy, że jak ambasador sowiecki przyszedł na mecz, zobaczył to hasło, to zażądał, aby ten transparent usunięto. Podobno zapowiadał zgłoszenie

protestu, gdyż twierdził, że to jest transparent organizacji terrorystycznej. A w Hiszpanii byli bardzo uczuleni na sprawy terroryzmu z uwagi na konflikt z Baskami...

Ponieważ była zasada, że należy ubiegać się o azyl w pierwszym kraju, do którego się przyjedzie, więc po mistrzostwach wróciliśmy do Francji i tam złożyliśmy wnioski o azyl i o wyjazd do USA.

W czasie podróży z Hiszpanii do Francji poznaliśmy młodą dziewczynę, Francuskę, z którą się zaprzyjaźniliśmy. Przez pewien czas mieszkaliśmy u niej w Paryżu.

Moje znaczenie polityczne w tym czasie było oczywiście żadne. Byłem biednym emigrantem, nie znałem nawet języka francuskiego. Zapisalem się jednak do szkoły kultury i języka francuskiego (rząd francuski to finansował). To była najbardziej ekskluzywna szkoła języka francuskiego w tym czasie.

We Francji mieszkalem około jednego roku. W końcu przyszło pismo, że mam bilet na wyjazd do Stanów Zjednoczonych. Mój kolega Bogdan dostał bilet miesiąc wcześniej, ponieważ jego nazwisko jest w porządku alfabetycznym wcześniej. Ja wyleciałem do USA w lipcu, a on w czerwcu 1983 roku.

W Ameryce także nikogo nie znałem i nie miałem tam żadnej rodziny. Natomiast znałem język angielski.

Na lotnisku podszedł do mnie przedstawiciel PAIRC - Polish American Immigration and Relief Committee (czyli Polsko-Amerykańskiego Komitetu Imigracyjnego), która to organizacja na zlecenie rządu amerykańskiego opiekowała się imigrantami z Polski i powiedział:

- Dzisiaj jedziemy do hotelu, gdzie będziesz spał. A jutro wyrobimy ci kartę *Social Security* (ubezpieczenia społecznego) - SSN.

W USA, jeśli ktoś pracuje, to pracodawca na to indywidualne konto SSN wpłaca część zarobków na fundusz emerytalny. Ponieważ w USA nie ma dowodów osobistych, to ta karta identyfikuje człowieka - jej numer jest przypisany do danej osoby przez cały okres jej życia. Żeby otworzyć konto w banku albo zawrzeć umowę ubezpieczenia, trzeba podać numer tej karty.

Na drugi dzień wyrobiliśmy kartę SSN dla mnie. Wtedy przedstawiciel tej organizacji dał mi 50 dolarów i powiedział, że mam jeszcze opłacone dwa dni w hotelu, a potem muszę sobie radzić sam.

- Powodzenia!

Kupiłem gazetę. Znalazłem pracę i wynająłem mieszkanie... Takie były moje początki za Wielką Wodą.

Bardzo chciałem mieszkać w Ameryce. To był mój kraj. Nie miałem żadnego rozdarcia, jak wielu Polaków, którzy tu przyjeżdżali, ale żyli w zawieszeniu między Polską a Stanami Zjednoczonymi. Nigdy nie miałem dylematu - wracać czy nie wracać. Cieszę się, że Ameryka mnie zaadoptowała.

Sąd nadał mi obywatelstwo amerykańskie. To był dla mnie bardzo znaczący moment. Jestem dumny, że jestem Amerykaninem. Miałem - być może - jakiś wkład w politykę, jaką mój nowy kraj prowadził w tym czasie w stosunku do PRL-u.

Jeszcze, gdy byłem we Francji, pamiętam demonstracje uliczne co miesiąc - 13-tego [w miesięcznicę wprowadzenia stanu wojennego] przed polskim konsulem o uwolnienie więźniów politycznych. Z tym, że nie wspomiano na tych demonstracjach o więźniach z KPN-u. Podobnie w gazetach polonijnych. Pisało się o działaczach "Solidarności" i o działaczach KOR-u, ale o KPN-ie się nie pisało (z jednym wyjątkiem - o czym dalej). Pomyślałem: "Co się dzieje? To jest nie fair!".

Dlatego już we Francji postanowiłem, że będę o KPN-ie mówił.

Przed kościołem w Paryżu facet sprzedawał znaczki "Solidarności". Jeden znaczek miał z KPN-em (ten z kotwicą). Kupiłem i dumnie zacząłem go nosić.

W Paryżu jedynym dziennikarzem, który pisał o KPN-ie był Andrzej Kowalczyk. Wydawał (w języku polskim) gazetę solidarnościową (tygodnik) i od czasu do czasu pisał o KPN-ie.

Był też we Francji Tadeusz Brzostek - starszy gość, jeszcze chyba z emigracji wojennej czy powojennej. On podawał się, zdaje się, za przedstawiciela KPN-u.

W Ameryce mogłem więcej zrobić dla Konfederacji Polski Niepodległej.

Zaraz na początku zadzwoniłem do Polski, do Moczulskich. Odebrała pani Moczulska. Mówiła o trudnej sytuacji więźniów w Barczewie. Mówiła, że ich zdrowie, a nawet życie może być zagrożone.

- Panie Marku, broń Leszka!

Nie potrzebowałem więcej żadnej motywacji. Mogłem bronić, to broniłem.

W czasie tej pierwszej rozmowy z panią Moczulską, powiedziałem:

- Jeżeli to nie jest dla pani niewygodne, to ja za pewien czas znowu zadzwonię.

Chciałem w ten sposób przekonać się, czy w jakiś sposób jej nie narażam. Ona odpowiedziała:

- Proszę dzwonić!

Później dzwoniłem regularnie. Informowałem m.in. o reakcjach społeczeństwa amerykańskiego na mój apel o uwolnienie Leszka Moczulskiego. Napisałem w tej sprawie list do Reagana. Dostałem odpowiedź, że rząd amerykański będzie kontynuował naciski na PRL w celu uwolnienia przywódców KPN. Podano też w tej odpowiedzi informacje, jakie są te formy nacisku.

Zwykle w czasie rozmowy z Marią Moczulską powoływałem się na społeczeństwo amerykańskie. Mówiłem to z uwagi na ubeków, którzy podsłuchiwali. Chciałem, żeby ci reżimowcy wiedzieli, że tutaj w Ameryce jest zainteresowanie Moczulskim i że tutaj chcą go bronić. Chciałem, aby myśleli, że to nie tylko jeden narwaniec się interesuje ale, że jest tutaj cała duża ekipa ludzi, która to prowadzi. Chciałem, aby wiedzieli, że politycy wypytyują, co mogą zrobić, aby pomóc, że media wypytyują, bo chcą coś napisać itd. Chciałem, żeby ci ubecy, którzy podsłuchiwali, myśleli tak:

- O kurwa, ale w tej Ameryce się szykają! Zaraz naszego ambasadora wezwą...

Liczyłem, że w ten sposób wpłynę na nich, aby osłabić prześladowania KPN-u

Skontaktowałem się z Maciejem Pstrąg-Bieleńskim, o którym wiedziałem, że był członkiem-założycielem KPN-u i reprezentował KPN na Zachodzie (początkowo w RFN). Z polskojęzycznej gazety w USA dowiedziałem się, że był on wówczas w Stanach Zjednoczonych (mieszkał w Phenix w Arizonie). O ile dobrze pamiętam, to najpierw napisałem do niego list i podałem swój numer telefonu. On do mnie zadzwonił. Porozmawialiśmy. Potem Maciek przyjechał do mnie do Nowego Yorku i ustaliliśmy zasady naszej współpracy. Maciek pokazał mi papier firmowy, jakiego dotychczas używał i zapowiedział, że doda tam moje nazwisko i mój adres. Przesłał mi potem kilkaset sztuk tego papieru (ze zmianami), abym mógł go wykorzystywać. W ten sposób zmienił się mój formalny status, bo do tego momentu broniąc więzionych członków KPN-u występowałem wyłącznie jako osoba prywatna.

Z Maćkiem współpracowało mi się bardzo dobrze. Jak powiedział mi ostatnio:

- Ja nawiązałem te kontakty, a ty je dobrze wykorzystywałeś.

Zanim Maciek przyjechał do USA, to był w bardzo trudnej sytuacji. Po powstaniu KPN-u, bezpieka chciała przedstawić Moczulskiego jako agenta wywiadu zachodniemieckiego. Osobą, która miała "połączyć" Moczulskiego z tym wywiadem, miał być właśnie Maciek. Na Maćku skupiły się akcje wywiadu PRL-u. Niestety byli w tym skuteczni. Dzisiaj wiem, jak to wyglądało z Maćka strony - nawet te najtrudniejsze w jego życiu momenty i wydarzenia - bo sam mi o tym

wszystkim teraz opowiada przez telefon. Być może mimo wszystko chce, żebym to ja napisał jego historię. Myślę, że warto to zrobić, bo jest on człowiekiem, na którym - poza Leszkiem - skupiły się w pewnym okresie najbardziej zaciekle ataki bezpieki. Oczywiście jest, że Maciek popełnił błędy, wynikające nie tylko z osaczenia przez PRL-owskie służby, ale także z braku doświadczenia, z trudnej sytuacji materialnej, czy też jeszcze z innych powodów. Mam nadzieję, że działacze KPN-u sprawiedliwie go ocenią, zwłaszcza, gdy poznają wszystkie okoliczności, w jakich przyszło mu działać (szczególnie w okresie jego pobytu w RFN).

W papierach SB są wymieniani, jako przedstawiciele KPN w Ameryce: małżeństwo Piórow [on miał na imię Józef], Marian Orłowski i Henryk Szuster. Maciek wydał mi pozytywną opinię tylko o Henryku Szusterze. Ponadto 21 maja 1984 roku Maciek wydał Komunikat w imieniu Konfederacji Polski Niepodległej, w którym m.in. napisał m.in.: "Ewa i Józef Pioro wydają w Nowym Jorku tzw. *Biuletyn Informacyjny*, w którym na bazie insynuacji o rzekomych związkach z KPN-em, szerzą kłamstwa, fałszerstwa i dezinformacje".

Był jeszcze Aleksander Pruszyński w Kanadzie, który reprezentował starsze pokolenie. Jak zaczęłam udostępniać informacje na temat Konfederacji Polski Niepodległej amerykańskim dziennikarzom i amerykańskim politykom, to na końcu pisma zawsze dodawałam, że jeśli ktoś by chciał więcej wiadomości, to żeby zadzwonił do mnie - podawałam moje nazwisko i numer telefonu. No i pewnego razu zadzwonił Pruszyński. Powiedział, że jest w Nowym Jorku i chciałby się spotkać, żeby porozmawiać. Z jednej strony robił dobrą robotę, bo drukował informacje w prasie polonijnej na temat KPN-u, ale z drugiej - to, co pisał w tej gazecie, było nadmiernie uproszczone. Spotkałem się z nim. Ustaliliśmy, że będę nadal podsyłał mu informacje. I to był nasz jedyny bezpośredni kontakt.

Pruszyński także nie miał dobrego zdania na mój temat. W nagranej przez SB w tym czasie rozmowie telefonicznej Pruszyńskiego z Leszkiem Moczulskim (która znajduje się obecnie w archiwum Polskiego Radia) Pruszyński skarżył się:

- Ten Ruszczyński to taki strasznie arogancki facet.

Kiedyś dostałem nagle telefon z Polski:

- Marek, dzwoni szybko! Leszek wyszedł na przepustkę! Będzie tylko godzinę!

Wow! Zadzwoniłem i wtedy rozmawiałem pierwszy raz z Leszkiem Moczulskim.

W Ameryce wypracowałem sobie dostęp do polityków. Pomagałem dziennikarzom, doradzałem politykom i miałem możliwość, żeby "popchnąć" sprawę więźniów politycznych z KPN-u. Nie miało to żadnego związku z moją pracą. Działalność tę finansowałem z własnych pieniędzy. To nie były małe sumy. Na przykład kiedyś otrzymałem miesięczny rachunek za telefon na 900 USD. To wtedy była to spora kwota.

[We wrześniu 1984 roku Moczulski wyszedł z Barczewa, ale po kilku miesiącach został ponownie aresztowany].

Po ponownym aresztowaniu Moczulskiego (w marcu 1985 roku) założyłem Komitet na rzecz Uwolnienia Leszka Moczulskiego. Do komitetu wziąłem dwóch kongresmanów: Roberta Dornana i Geralda Solomona. Dornan był Przewodniczącym Komitetu. Poza nimi do Komitetu na Rzecz Uwolnienia Leszka Moczulskiego wziąłem niektórych liderów emigracji politycznej innych narodów, z którymi wcześniej współpracowałem. Byli to Walter Chopiński z Komitetu Narodów Ujarzmionych, Habibullah Mayar z Afgańskiego Komitetu w Ameryce, Avo Piirisild z Bałtycko-Amerykańskiej Ligi Wolności oraz Roxolana Potter z organizacji Amerykańscy Przyjaciele Antybolszewickiego Bloku Narodów. Z Polaków dodałem Jana Karskiego, Maćka Pstrąga-Bieleńskiego, Ryśka Jonaka. Honorowym Przewodniczącym Komitetu zrobiłem Alojzego Mazewskiego z Kongresu Polonii Amerykańskiej.

Pamiętam moją pierwszą demonstrację przed konsulem PRL w Nowym Yorku (to była jakaś rocznicowa demonstracja).

W pewnym momencie organizatorzy tej demonstracji zapytali:

- Kto jeszcze chce mówić?

Zgłosiłem się.

- Ja chcę mówić, bo nic nie mówicie o KPN-ie.

Wtedy oni nagle zmienili zdanie i powiedzieli:

- No to my już kończymy.

Pomyślałem: "Trudno. Skoro już kończycie, to kończcie".

Na innej demonstracji pod hasłem: "Uwolnić więźniów politycznych" wymieniano masę nazwisk działaczy "Solidarności" i KOR-u, a nazwisk więzionych działaczy KPN-u nie było. Sytuacja podobna do tej w Paryżu. Wtedy w pobliskim sklepie z artykułami papierniczymi szybko kupiłem duży karton, flamaster i od ręki napisałem nazwiska więzionych członków Rady Politycznej KPN-u: "Moczulski - Król - Słomka - Szomański - Wójcik". Wyglądało to skromnie w porównaniu z profesjonalnie wydrukowanymi nazwiskami innych więźniów (amerykańskie związki zawodowe bardzo hojnie wspomagały "Solidarność"), ale co było zrobić?

Te doświadczenia utwierdziły mnie w postanowieniu, aby poświęcić swój czas i swoje pieniądze, żeby o KPN-ie i o niepodległościowym nurcie opozycji też się mówiło w USA.

Od 1985 roku prowadziłem (razem z moim kolegą, który prosił, aby nie podawać jego nazwiska serwis informacyjny po angielsku - "IPNS", czyli "Independent Polish News Service" ("Niezależny Polski Serwis Informacyjny")). Nie mogłem robić tego cały czas, bo musiałem także pracować zawodowo, bo musiałem się utrzymać. Przygotowywałem więc materiał, jak się coś działo w Polsce. Przekazywałem to dziennikarzom, mediom, politykom, rządowi amerykańskiemu. To było kilkaset podmiotów! To nie były informacje tylko o KPN-ie, bo wtedy wszyscy by się zorientowali, że to jest tuba propagandowa KPN-u. Chodziło o to, aby nie sprawiać wrażenia, że wyolbrzymiam znaczenie KPN. Żeby to było skuteczne, to nie mogło być poświęcone tylko KPN-owi. Serwis ten formalnie prezentował wiadomości z Polski. Dzięki temu, mogłem tam umieszczać także informacje o KPN-ie.

Dzwoniłem także do różnych ludzi z opozycji i z Solidarności, robiłem z nimi wywiady, spisywałem i udostępniałem to mediom i politykom amerykańskim. To było bardzo efektywne i pozwalało mi upowszechniać informacje, na których mi zależało. Spisane nagrania wywiadów wysyłałem także do mediów polinijnych, które także bardzo chętnie z tego korzystały (zwłaszcza, jak był to na przykład wywiad z Kuroniem czy Geremkiem).

Początkowo rozsyłałyśmy materiały do kongresmenów pocztą tradycyjną. Pamiętam taki list do członków Kongresu, który wysyłałyśmy z moją żoną. Siedzieliśmy całą noc. Podłoga w salonie była zasłana listami i znaczkami. Były takie kupki listów ułożonych jeden na drugim na wysokość 20 centymetrów. Ciężko było przejść, bo członków Kongresu jest ponad pięciuset (435 Kongresmenów i 100 Senatorów) plus sto listów do najważniejszych mediów.

Pierwotnie te koperty ręcznie adresowaliśmy. Potem kupiłem komputer i drukowałem nalepki, to już było łatwiej.

Potem kupiłem fax, który w tym czasie był bardzo drogi (kosztował kilka tysięcy dolarów) i za jego pośrednictwem rozsyłałem informacje i materiały o opozycji w Polsce.

Wreszcie odkryłem, że w faxie można do pamięci wprowadzić numery adresatów i potem wystarczy tylko naciskać przycisk. Wow!

Potem założyłem Biuro KPN w Nowym Yorku. Ono funkcjonowało niezależnie od "IPNS". Jak robiłem wywiad z Kuroniem, to nie przedstawiałem się jako reprezentant Biura KPN-u, bo wtedy myślałem, że on niekoniecznie chciałby ze mną rozmawiać. Przedstawiałem się więc jako reprezentant "IPNS". Dzwoniłem do ludzi z opozycji i mówiłem:

- Nazywam się Marek Ruszczyński. Dzwonię z Nowego Yorku. Społeczeństwo amerykańskie jest zainteresowane twoimi poglądami. Czy chcesz o tym ze mną porozmawiać? Zastrzegam, że ja to udostępnię też innym mediom i agencjom.

- Dobrze. Dawaj!

Dzięki temu niektórzy w Ameryce uważali mnie za wiarygodne źródło opinii czy informacji, a to co mówiłem miało pewien wpływ i pomagało politykom oraz niektórym ludziom z mediów. Niektórzy uważali materiały, które im oferowałem, za ciekawe i wartościowe, które mogą pomóc w formułowaniu opinii na temat tego, co myśleć o Europie Wschodniej, o walce z Rosją czy o PRL-u. Uważali, że jest to na tyle ciekawe, że nawet jeśli się z tym nie zgadzali, to warto z tym się zapoznać.

Pragnę przy tym podkreślić, że to wszystko robiłem jako osoba indywidualna. Nie byłem częścią żadnej grupy politycznej. Przeznaczałem na to mój czas i moje oszczędności. Moją motywacją było to, że mogłem coś zrobić, będąc w Stanach Zjednoczonych. Inni siedzieli w więzieniu w PRL, a ja tutaj starałem się jakoś pomóc.

Regularnie dzwoniłem także do Zygmunta Łenyka z Krakowa. Jego numer telefonu miałem od Krzysztofa Bzdyla, który przyjechał do USA w 1984 roku. Łenyk stał się regularnym dostarczycielem informacji o tym, co robiła Konfederacja Polski Niepodległej. Robił to bardzo dobrze, precyzyjnie. Dużym plusem było to, że nie dodawał swoich komentarzy. Te informacje od niego nie wymagały już specjalnej pracy redakcyjnej.

Kiedyś, w czasie naszej rozmowy wpadła do niego milicja i przez słuchawkę usłyszałem odgłosy jakby bicia, krzyki, a potem połączenie się przerwało. Następnego dnia rano pojechałem do Waszyngtonu, opowiedziałem tę historię. Departament Stanu przekazał wówczas ambasadzie PRL swój protest a potem wywierał presję w tej sprawie. W konsekwencji Łenykowi włączyli telefon i więcej już nie było takich incydentów.

Obsłużyliśmy razem drugi proces KPN-u [w 1986 roku]. Ja dzwoniłem do niego w nocy (czyli nad ranem czasu polskiego). On był przygotowany. Opowiadał, co działo się na sali sądowej. Ja to nagrywałem a potem spisywałem. Rano (czasu amerykańskiego) zawoziłem tekst do Wolnej Europy. Dawalem to do rąk mojemu znajomemu Józkowi Ruszarowi, który wtedy pracował jako pracownik techniczny w RWE w Nowym Jorku. On powoływał, że te materiały z procesu KPN-u były przez RWE nadawane. Potem Józek awansował w RWE na redaktora. Pamiętam, jak na jednym z party kiedyś później Jozek zażartował mówiąc coś takiego (w przybliżeniu):

- Wyrobilem się na tym procesie KPN-u i poszedłem potem w górę w RWE.

Wolna Europa wcześniej nie podawała dużo informacji o KPN-ie, ale w 1986 roku, to już się zmieniło.

Z Łenykiem miałem także inny dwustronny kanał kontaktu (regularny i skuteczny) - był to kanał amerykański. Ale o tym nie chcę mówić szczegółowo. W każdym razie dostawałem przesyłki z Waszyngtonu. W kopercie była druga koperta, a w niej kartka pisana na maszynie (a potem ręcznie) od KPN-u. Chyba tą drogą (albo od jakiegoś łącznika z Polski) dostałem od Zygmunta informację o drugim numerze telefonu (w mieszkaniu jego znajomych). W razie potrzeby mogłem tam dzwonić i mogliśmy spokojnie porozmawiać. Jeśli dzwoniłem do Zygmunta i nikt nie odpowiadał, albo mówił, że Zygmunta nie ma, to dzwoniłem pod ten drugi numer i tam zwykle on był.

Bardzo szybko się zorientowałem, że ambasada amerykańska w Warszawie nie popierała wtedy KPN-u, nie zapraszali ludzi z KPN-u na spotkania organizowane w ambasadzie, a

informacje, które przekazywali do Stanów Zjednoczonych, dla rządu amerykańskiego, oparte były o źródła KOR-owskie. Informowali głównie o tym, co robili i co mówili: Michnik, Kuroń, Geremek, Wałęsa. Bardzo dobrze, że o nich pisali, ale o KPN-ie także powinni informować.

Ktoś w ambasadzie w Warszawie bardzo szybko się zorientował, że ja informowałem kongresmenów o KPN-ie i prosiłem ich o wywarcie wpływu na Departament Stanu. Ambasador w Warszawie był z tego powodu niezadowolony, bo ktoś - poza jego kanałem dyplomatycznym - udostępniał informacje o sytuacji w Polsce, z których wyłaniała się nie tyle alternatywna rzeczywistość, ile bogatszy obraz, obejmujący dodatkowe elementy. To nie tyle zaprzeczało jego informacjom, ile je uzupełniało.

Tak samo korespondenci mediów amerykańskich ("New York Times" czy "Washington Post") w Polsce uważali, że Michnik, Kuroń, Geremek są najważniejsi. Tłumaczami tych dziennikarzy (jeśli nie znali języka polskiego) byli ludzie związani z tamtą częścią opozycji. W ten sposób raporty ambasady amerykańskiej znajdowały pełne potwierdzenie w tym, co pisały amerykańskie media. A ja pokazywałem, że jest jeszcze inna część opozycji.

Departamentowi Stanu też się nie podobało, że tu jest ktoś, kto dostarcza kongresmenom inne informacje, sugeruje, prosi, żeby były zapytania w sprawie KPN-u. Na przykład, jak komisja Kongresu przesłuchiwała kandydata na jakieś stanowisko związane z Europą Wschodnią, to oni zauważali, że członkowie Partii Republikańskiej zadają pytania, na które ci kandydaci absolutnie nie są przygotowani i które są dla nich niewygodne. Pytania te opierały się na informacjach, które ja dostarczałem.

W połowie lat 80. Reagan naciskał na rząd PRL-u, aby wypuścić przywódców KPN-u z więzienia [chodziło o osoby skazane w 1986 roku w procesie drugiego kierownictwa Konfederacji Polski Niepodległej: Leszka Moczulskiego, Andrzeja Szomańskiego, Krzysztofa Króla, Adama Słomkę i Dariusza Wójcika], a potem - aby zezwolić Leszkowi Moczulskiemu na wyjazd na Zachód w celu leczenia. Był to wynik między innymi moich starań. Prosiłem znajomych kongresmenów, aby dzwonili do Reagana i prosili go o interwencję w sprawie prześladowań KPN-u.

Jak Leszek wreszcie wyleciał na Zachód [pod sam koniec 1986 roku] i wylądował w Londynie, to zadzwonił do mnie. Poradziłem mu wtedy:

- Napisz list do Reagana, podziękuj mu za zaangażowanie w Twoje uwolnienie i w to, że cię wypuścili na Zachód i prześlij mi.

Moczulski zrobił to, o co prosiłem. Przetłumaczyłem ten list, dołączyłem tłumaczenie do oryginału. Przy następnej okazji gdy byłem zaproszony do Białego Domu to osobiście wręczyłem ten list Reaganowi.

Tu jest taka zasada, że jak coś podajesz prezydentowi, to on to bierze do ręki, podaje swojemu asystentowi i potem dopiero czyta (albo nie). Ale jak podszedłem do Reagana, to powiedziałem mu, o co chodzi i od kogo ten list. On wziął kopertę i schował ją do wewnętrznej kieszeni marynarki. Powiedział:

- Dobrze, że mi to dałeś. Dziękuję!

Secret Service na mnie patrzyło nieufnie, bo jak się podchodzi do prezydenta, to są pewne zasady. Ja je naruszyłem, bo wyjąłem z kieszeni kopertę i wręczyłem ją prezydentowi.

Tego typu działania na pewno politycznie pomagały KPN-owi.

Od razu też podjąłem starania, żeby - jak Moczulski przyleci do Stanów Zjednoczonych - doszło do jego spotkania z Reaganem. Starłem się, aby odbyło się to według procedury zbliżonej do spotkań prezydenta USA z głową innego państwa. Taka procedura automatycznie podwyższała znaczenie tego wydarzenia. Moczulski nie miał być przyjęty jak głowa państwa, ale prawie tak, jak głowa państwa. Władze komunistyczne byłyby wściekle!

Wtedy Wojtek Budzyński zadeklarował się, że ma oryginalną szablę ullańską i ją ofiaruje,

żeby w imieniu Moczulskiego ją dać jako prezent dla Reagana. Dzięki temu moja koncepcja tego spotkania była taka, że nie będzie to krótkie spotkanie i zdawkowa rozmowa, ale będzie to uroczyste przekazanie przez Moczulskiego daru od narodu polskiego dla Prezydenta USA. Obowiązuje wtedy specjalna procedura. Prezydent nie bierze dla siebie tych podarków. One są własnością rządu amerykańskiego. Muszą być skatalogowane. Ja to wszystko musiałem oczywiście wcześniej zgłosić.

Wszystko zostało uzgodnione. Łenyk (z mojej inspiracji) przysłał do USA pismo z Polski, z którego wynikało, że szabla jest wyrazem podziękowaniem od narodu polskiego dla Prezydenta Reagana za jego zaangażowanie w interesie Polski po wprowadzeniu stanu wojennego. Dostałem potwierdzenie, że Reagan będzie dumny, że otrzyma tę szablę od narodu polskiego.

A potem Wojtek [Budzyński] się z tego wycofał... Musiałem wszystko odwołać. Bo gdybym nie odwołał, to bym wyszedł na kogoś, kto chciał oszukać prezydenta. Byłem maksymalnie wkurzony na Wojtkę. Nie jest prawdą to, co [Wojtek \[Budzyński\] powiedział w swojej relacji](#), że dał tę szablę i ja ją wręczyłem Bushowi.

Leszkowi [Moczulskiemu] powiedziałem tylko, że spotkania z Reaganem nie będzie, bo Reagan jest politycznie bardzo osłabniony. Reagan wtedy rzeczywiście był atakowany - zarzucano mu, że sprzedał broń Iranowi i z uzyskanych środków wspierał antykomunistycznych partyzantów w Nikaragui [tzw. afera Iran - Contras]. Nie mówiłem Leszkowi nic o Wojtku [Budzyńskim]. Ale w miejsce spotkania z Reaganem załatwiłem spotkanie z wiceprezydentem Georgem Bushem, który wcześniej też był zaangażowany w pomoc dla KPN-u. I to spotkanie się odbyło.

Jak się załatwia spotkanie z prezydentem lub wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych? Formalnie to się składa prośbę do dyrektora Białego Domu do spraw komunikacyjnych. Choć z drugiej strony, jak dawałem Reaganowi ten list od Moczulskiego, to mu powiedziałem, że chcę przyprowadzić Moczulskiego do Białego Domu, jak ten przyleci do Stanów Zjednoczonych, żeby mógł osobiście podziękować prezydentowi. To mi później ułatwiło zadanie. Miałem też koleżankę, która pracowała w wydziale komunikacji Prezydenta.

Miałem jakiś numer telefonu w Warszawie, pod który miałem dzwonić określonego dnia o określonej godzinie. Numer ten przywiózł do USA łącznik z Polski. Leszek w ustalony dzień i o umówionej godzinie był pod tym numerem i mogliśmy spokojnie porozmawiać. Przynajmniej nam nie przerywali. Kolejne rozmowy umawialiśmy w ten sposób, że Leszek na koniec rozmowy mówił coś takiego:

- Marek, będę pod tym numerem za cztery dni o tej samej godzinie. Jak będzie potrzeba, to zadzwoni!

Dzwoniłem regularnie za każdym razem.

Miałem częste kontakty z Leszkiem. Poznałem dobrze jego sposób myślenia i jego koncepcję. Bardzo mi imponował. Pokazywał, jak należy myśleć politycznie. Potrafił bez przygotowania przedstawić wnikliwą analizę sytuacji czy problemu. Dziwiłem się, że ludzie nie dostrzegali tej różnicy w jakości analizy politycznej między Leszkiem a innymi działaczami opozycji w Polsce. I to, co Moczulski proponował, to było bardzo rozsądne. Tak należało robić!

W USA jest łatwiejszy dostęp do polityków niż w Europie. Kongresmeni są otwarci na komunikację zwłaszcza z ludźmi ze swojego okręgu wyborczego. A ja miałem im coś do zaproponowania. Z tych powodów byłem bardziej skuteczny niż mógł być przeciętny Polak zamieszkały w Ameryce.

Byłem obywatelem amerykańskim, który posiadał nieomal ekskluzywną wiedzę o niektórych wydarzeniach w Polsce. Wiedzę, która wykraczała poza to, co podawały oficjalne media. Ta wiedza oraz moje komentarze były atrakcyjne także dla rządu Stanów Zjednoczonych. Każdy rząd chce mieć wiedzę z różnych źródeł. To była "dobra waluta". Posiadałem precyzyjne informacje, których często nie było w oficjalnych przekazach. Dzięki temu i dzięki innym sprawom

wyrobiłem sobie pewną pozycję. Doszło do tego, że dzwonił do mnie kongresmen i mówił:

- Mark, za 10 minut będę mówił w Kongresie na temat sankcji. Co mam powiedzieć?

To była dla mnie ogromna satysfakcja. Miałem w ten sposób dowód na to, że materiały, które wysyłałem do biura kongresmena, on je czyta i analizuje. Byłem więc efektywny w tym, co robiłem.

Brałem udział w różnych konferencjach, wydarzeniach, projektach i różnych innych działaniach, które dotyczyły polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych i wspomagałem ludzi, którzy tę politykę w innych częściach świata realizowali.

Występowałem między innymi w Kongresie przed Komisją Spraw Zagranicznych. Przewodniczącym tej komisji był wtedy Senator a obecnie prezydent Stanów Zjednoczonych Joe Biden. Tematem posiedzenia komisji było budowanie demokratycznych instytucji w Europie Wschodniej. Wypowiadałem się na temat tego, jaka powinna być polityka zagraniczna USA w stosunku do Polski, dla której rząd amerykański przeznaczał setki tysięcy dolarów na pomoc dla Solidarności i opozycji. Takie przesłuchania w Kongresie są zawsze obserwowane przez media. Był CNN, ale ani Radia Wolna Europa, ani Głosu Ameryki nie było mimo, że występował Polak - Ruszczyński. Bezpośrednio przede mną mówił Carl Gershman, Przewodniczący Amerykańskiej Fundacji na Rzecz Demokracji (NED), której to Fundacji rząd amerykański te setki tysięcy dolarów dla Solidarności i opozycji w Polsce przekazywał. Mówiłem między innymi, że pieniądze dostaje tylko jedna część opozycji, co nie służy pluralizmowi i rozwojowi demokracji w Polsce. Wyjaśniłem, że KPN nie dostaje nic z tych pieniędzy. Nawiązując do jednego z projektów powiedziałem, że wydano 15 tysięcy dolarów na wydrukowanie w podziemiu książki o Katyniu i wskazałem, że KPN wydrukowałby tę książkę za tysiąc dolarów.

Była inna konferencja jakiegoś think-tanku, który się zajmował formułowaniem koncepcji rządu amerykańskiego w zakresie polityki zagranicznej wobec Europy Wschodniej. Zabierałem głos na tej konferencji. Przyjechał Reagan. Po takiej jego wizycie prezydent dostawał skrót - po kilka zdań, co każdy z nas powiedział.

Znałem osobiście ludzi, którzy zajmowali się pomocą dla Afganistanu, czy dla Nikaragui i brałem udział w konferencjach na ten temat.

Brałem udział w pracach Światowej Ligi Antykomunistycznej - WACL, uczestniczyłem w ich konferencji w Dallas i w Luksemburgu. Reagan wysłał list gratulacyjny na konferencję w Dallas i przeproszał, że nie mógł przyjechać osobiście. Napisałem potem taki list do Reagana, że członkowie Ligi Antykomunistycznej proszą prezydenta, żeby kontynuował naciski na reżim PRL, aby wypuścili Moczulskiego. Dałem to do podpisu wszystkim delegatom i wysłałem do Waszyngtonu.

Wielokrotnie uczestniczyłem także w corocznych konferencjach organizowanych przez Antybolszewicki Blok Narodów (ABN) w Waszyngtonie. Jedna z nich była organizowana w budynkach amerykańskiego Kongresu.

Skutek tych wszystkich działań był taki, że jak było jakieś spotkanie w Waszyngtonie, to do mnie dzwoniли:

- Ej, Mark, przyjedziesz?

No to jechałem.

Byłem zapraszany na wiele spotkań innych grup i środowisk antykomunistycznych i brałem udział w ich akcjach. Między innymi współorganizowałem corocznie Tydzień Narodów Ujarzmionych oraz Dzień Wolności.

Losy emigrantów z Polski w Ameryce były różne. Nie wszystkim się udawało. Niektórym ludzie, którzy byli w "Solidarności" i przyjechali do Ameryki, na początku było ciężko. Tutaj trzeba było pracować, zarobić na rodzinę, na życie, potem na dom... Niektórzy się angażowali finansowo, żeby pomagać, ale inni tego nie robili. Niektórzy po prostu nie dawali sobie rady z braku

umiejętności językowych, albo z braku wiedzy o tym, co konkretnie można było zrobić dla kraju. Niektórzy używali tytułów jeszcze z Polski, które nie były adekwatne do ich nowej pozycji życiowej w Ameryce.

Istniały już wśród Polonii oraz były zakładane organizacje o dużych nazwach. Niektóre z nich robiły dobrą robotę dla swoich członków. Ale były też organizacje o szumnych nazwach, których działalność ograniczała się do wydawania oświadczeń. Nie chciałem angażować się w ich podziały, spory i kontrowersje. Poza tym często obracali się niemal wyłącznie wśród Polonii. Kontakty na Amerykanów czasami wydawały się dla nich owocem nie do ugryzienia.

Część Polaków nie mogła zapomnieć w Ameryce polskiej mentalność i polskiego sposobu myślenia, przez co ich adaptacja była bardzo utrudniona albo wręcz niemożliwa. A tutaj jest inaczej niż w Polsce. Na przykład liczy się, czy masz stałą pracę, która daje dochód. Tutaj każda praca się liczy. Masz pracę - jesteś dobry. W Ameryce liczy się to, ile twoja praca ci daje pieniędzy. Oczywiście ważna jest także satysfakcja, ale to jest inna rzecz. I nie ma tak, że jak się tu inżynier spotka ze śmieciarzem (a śmieciarz to bardzo dobrze płatna praca w Nowym Yorku), to - jeśli mają takie same domy, mieszkają obok siebie, jeżdżą podobnymi samochodami, spotykają się na party - to jeden patrzy na drugiego z góry. A tak było w Polsce.

Ale było też dużo Polaków, którzy mieli sukcesy zawodowe w Ameryce. Znajdowali sobie pracę w podobnym zawodzie do tego, który wykonywali w Polsce (oczywiście nie od razu - na przykład . jak ktoś był inżynierem, to w Ameryce najpierw wykonywał pracę fizyczną, potem był kreślarzem, a dopiero potem pracował jako inżynier). Część z nich próbowała się wystrzelać zawodowo, realizować się intelektualnie w ramach swojego zawodu, w ramach rozwijania się profesjonalnego. Zarabiali coraz większe pieniądze, zamieniali mniejszego domu na większe, często zmieniali samochody...

Często było też tak w rodzinie, że mąż chciał coś tutaj robić, aby wspierać opozycję w kraju, ale żona miała do tego negatywny stosunek. Mówiła:

- Nie rób, bo nie zobaczę rodziny, rodziców, siostry! Nie pojedziemy na wakacje do Polski!

Bo było wiadomo, że jak ktoś będzie robił na przykład to, co ja, to do PRL-u już być może nie przyjedzie. Reżim PRL, jak dawały emigrantom paszport w jedną stronę, to dawały im też nadzieję:

- Jak będziesz na Zachodzie, to zgłoś się do polskiego konsulatu. My ci ten paszport wymienimy i będziesz mógł przyjechać do Polski.

Niektórzy Polacy, którzy w Ameryce ciągle żyli tym, że będą jeździć do Polski. Nie umieli żyć bez odcięcia się od Polski. Żyli tą Polską, ale w sposób nie zawsze zdrowy emocjonalnie. Tacy ludzie - w wyniku swojego wyboru - nie byli tutaj ludźmi wolnymi. To nie było tak, że oni się wypięli na opozycję, na "Solidarność". Oni po prostu chcieli mieć ten reżimowy przywilej - możliwość powrotu do Polski, możliwość pojechania do Polski na wakacje i pokazania się. Inni chcieli przyjeżdżać do Polski ze względów rodzinnych. Ja to bardzo upraszczam, ale to była istotna przyczyna nieprawidłowej adaptacji w nowym środowisku u dużej części Polaków. Mieli świadomość, że jak się wychyła, to nie będą już mogli do Polski pojechać.

Ja miałem to szczęście, że moja narzeczona, a później żona, Anka, nie stała na przeszkodzie mojej działalności, bo także miała antykomunistyczne poglądy i nieraz mi pomagała.

Moja żona w Polsce mieszkała w Katowicach, chodziła do tego samego liceum, co Adam Słomka. W styczniu 1982 roku uczniowie dwóch klas nosili czarne opaski protestując po zamordowaniu kopalni "Wujek". W rezultacie obie te klasy zostały rozwiązane.

Mieliśmy więc z Anką ten sam punkt widzenia, że pieniądze, które razem zarabialiśmy nie wydajemy na jakąś ekstra-konsumpcję (np. na wakacje na Hawajach albo na wakacje w Europie), tylko przeznaczaliśmy je na to, co ja robiłem. Anka mi pomagała w mojej działalności. To się zmieniło, jak pojawiły się dzieci. Ale jak pojawiło się pierwsze dziecko w roku 1990, to już był przełom polityczny w Polsce. Potem KPN weszła do Sejmu, była silną grupą polityczną i uznałem, że moja rola w tym momencie się skończyła.

Ale czasami dalej pomagałem osobom związanym z KPN-em, aby mogły tutaj przyjechać. To było łatwe, bo wystarczyło do kogoś zadzwonić albo wysłać list. Tutaj organizowane były różne warsztaty, szkolenia. Podawałem konkretne nazwisko, mówiłem, że gość jest z KPN-u, mówiłem, co to jest KPN. Oni potem dostawali zaproszenia. Często nawet nie wiedzieli, że to dzięki mnie mieli taką okazję - głupio mi było im o tym opowiadać.

Nigdy nie żałowałem tego, co robiłem dla kraju, dla KPN-u, dla Leszka Moczulskiego. Czylem ogromną satysfakcję gdy w Białym Domu przedstawiałem Leszka Wiceprezydentowi Bushowi. Gdybym mógł powtórzyć swoje życie, zrobiłbym to samo.